

# Kanapka z węża

Jerzy Marciniak

dedykuję: małej Chince i Japonce  
Sissi z Toronto, Ewie z Goleniowa,  
Kindze i tej grubej ze Szczecina  
oraz Darii z Venus (lato 2006)

Latem lubiliśmy opalać się na dachu starego gołębnika. Należał on do braci Romanowskich, ale oni pozwalali nam na buszowanie na tym pełnym dziur i mocno wgiętym do środka dachu, gdzie przy każdym kroku trzeszczały krokwie, sypało się w dół próchno i toczyły ku ziemi kulki smoły, którą dach był prawdopodobnie kiedyś smarowany.

Na początku lipca przestało nareszcie padać i słońce wyjrzało zza chmur raz, potem niespodziewanie szybko drugi raz, a po kilku dniach zagnieździło się na dobre na niebie. My, widząc to, nasmarowaliśmy nasze ciała dokładnie margaryną, kto miał olejek, to olejkiem, a niektórzy ropą i biegiem do gołębnika. A tu... zamknięte drzwi, a na dachu dziewczyny.

Och!... Bijemy pięściami, kopimy, ściany trzeszczą, dach się ugina, a dziewczyny NIC, rozmawiają sobie w najlepsze i zachowują się tak, jakby nas lekcewały. To się jeszcze na naszej ulicy chyba nie wydarzyło, żeby dziewczyny potraktowały chłopaków w ten sposób. Wiedzieliśmy, że musimy coś zrobić, coś konkretnego i stanowczego, bo inaczej to nasz honor i prestiż byłby... aż strach pomyśleć. Zwołaliśmy więc naradę. Mniej więcej godzinę po obiedzie.

Dziewczyny na naszej ulicy, mimo młodego wieku, miały już w zdecydowanej większości sprecyzowane plany życiowe, gdzieś połowa chciała zostać w przyszłości piosenkarką, a druga połowa aktorką. Tylko Eugenia, z uwagi na niski wzrost nazywana Mała Genia – odstawała trochę od koleżanek. Ona wybrała za wód modelki. Z tym, że zdecydowała się występować głównie za granicą. +

Konkurencja wśród dziewczyn była duża i często jedna zwalczała albo obgadawała drugą. Siedząc teraz na trawie nieopodal gołębnika, słyszeliśmy:... ona ma ładną barwę głosu, ale jeździ po tonacjach... może śpiewać tylko z kimś w duecie, bo sama to fałszuje... podać jej tonację, to sobie radzi... a skąd!... te siostry to mogą śpiewać tylko w chórze, nigdy solo...

Gołębnik i sad, który coraz bardziej malał, gdyż rozbudowywano osiedle mieszkaniowe, należały do trzech braci Romanowskich: Antoniego, Stanisława i Józefa. Jeden z nich miał kiedyś złotą rączkę do budowania drewnianych domów, drewnianych mostów i czegoś tam jeszcze z drzewa i drewna, drugi był zamiłowanym rybakim i to, co złowił w wodzie, to ten trzeci przyrządzał i stawiał na stole. Jadł najwięcej ten pierwszy. Mieszkali samotnie w dużym drewnianym domu wciśniętym pomiędzy bloki naszego osiedla.

Zasłaliśmy do nich na męską rozmowę w sprawie gołębnika. Zdaliśmy relację z aktualnej sytuacji i oni z wrażenia pobledli i nie chcieli z początku nam uwierzyć, że sytuacja jest aż tak ciężka. To znaczy, że tak poważnie został nasz honor wystawiony na szwank. Po jakimś czasie oni ochłonęli, popili zimnego piwa i ochłonęli, i zgodziliśmy się z tym, że dziewczyny zamknęły gołębnik, gdyż na pewno mają jakąś tajemnicę, prawdopodobnie imię któregoś z nas jest wypisane na belce. I zgodziliśmy się, że trzeba koniecznie przywrócić porządek. Nie chcieliśmy jednak działać pochopnie i... zrobiliśmy sobie godzinną przerwę w naradzie.

Józefowi Romanowskiemu uratowaliśmy kilka razy życie, które na pewno by stracił z powodu apopleksji, gdyby zorientował się, że to, co je, nie jest długą bułką zwaną z francuska bagietką, tylko czymś innym... I jego bracia o tym wiedzieli i byli nam za to bardzo wdzięczni. Ostatni raz uratowaliśmy go przedwczoraj. Antoni łapał węgorze, węże i tym podobne... Stanisław bez okularów słabo widział i przedwczoraj rozkroił węża wzdłuż krzyża, posmarował smalcem, włożył trochę cebuli do środka i dał bratu długą bułkę zwaną z francuska bagietką. Józef zjadł głowę i ogon zaczął się ruszać, co zaczęło go denerwować, im dalej, to wąż jak na złość coraz bardziej kręcił się w jego rękach. On w krzyk, bagietka smaczna, ale się rusza na boki!... I widzieliśmy, że złość u niego coraz gwałtowniejsza, apopleksja z nerwów coraz większa, śmierć od apopleksji coraz bliższa... Podbiegliśmy, przytrzymaliśmy ogon bagietki, a on spokojnie zjadł do końca długą bułkę.

Z kuchni zaczął dolatywać zapach przysmażanej cebuli ze słoniną, przekleństwa, przesuwanie krzesel po podłodze... Podeszliśmy bliżej i poprzez uchylone drzwi zobaczyliśmy, że Stanisław łapał coś, co pełzało między krzesłami. Po chwili uporał się jednak z problemem, przekroił żmiję wzdłuż na całej długości, posmarował margaryną, włożył w środek trochę cebuli ze słoniną i podał Józefowi długą bułkę zwaną z francuska bagietką. My podeszliśmy, przytrzymaliśmy ogon, by długa bułka nie chlastała go po twarzy, i wszystko poszło gładko.

Wznowiliśmy naradę. Rozmowy szły niczym po maśle, a przede wszystkim rzeczowo. Romanowscy nie byli ludźmi typu mało zdolny urzędnik uprzykrzający życie interesantom, tylko reprezentowali wysoki stopień świadomości. My uratowaliśmy Józefowi życie, a oni we trzech ratowali nasz honor.

- Możemy zrobić podkop pod gołębnik?
- Możecie!
- Możemy podpalić kawałek dachu, by wystraszyć dziewczyny?
- Możecie!
- Możemy podpiliwać jeden z filarów, by dach się przekrzywił?
- Możecie!

Podaliśmy sobie ręce i wyszliśmy. Mieliśmy wolny wybór, należało zatem teraz wybrać wariant najlepszy dla nas, a najgorszy dla dziewczyn.

Następną naradę rozpoczęliśmy późnym popołudniem w zaroślach niedaleko gołębnika. Słońce nie świeciło już tak intensywnie jak w południe, a od czasu do czasu znikало za niebieskimi i szarymi chmurami, dając wytchnienie naszym nagim plecom. Cichły ptaki gnieźdzące się w drzewach, też jakby chcąc pójść nam na rękę, byśmy mogli skupić się na tym, co teraz było dla nas najważniejsze. I wiatr, który z dalekiej łąki nadbiegał przed południem z impetem, teraz jakby zmęczony objaniem się o ściany domów i jakby mając dosyć błędzenia między drzewami i przedzierania się przez sztachety wysokich płotów, gasł, gasł, gasł i nie słyszeliśmy już jego natarczywego szumu.

Pod wieczór mieliśmy wytyczone podstawowe założenia w naszym planie działania, który mówił, a nawet nie mówił, tylko krzyczał swoją stanowczością: wyprawa Stefana Batorego na Psków! Pozostawało tylko trochę szczegółów, rozdzielenie ról, wyznaczenie godziny rozpoczęcia akcji i... I by było wszystko jasne, to krzyknęliśmy w stronę dziewczyn:

- Wyprawa Stefana Batorego na Psków!

Chociaż do gołębnika było dosyć daleko i robił się już wieczór, to wyraźnie widzieliśmy, jak one, słysząc nasze słowa, mocno pobladły.

Mala Genia przyszła jako parlamentariuszka. Zaczęła trochę z innej beczki, ale to było typowe dla niej.

– ... dziewczyny na naszym osiedlu to jak idą, to co druga kręci tyłkiem, nawet jak nikt się za nimi nie ogląda... te wielkie gwiazdy, modelki to często przereklamowane, dostały się na wybieg przez znajomości, niektóre to chodzą...

Prychnęła śmiechem przez ściśnięte wargi.

– ... to chodzą, lewa noga do przodu i jednocześnie lewa ręka do przodu, prawa noga do przodu i prawa ręka do przodu... a za wybiegiem to dekolty do przodu, uśmiech do przodu i... słyszałam, że macie złapać szerszenia, co jest na strychu, i wpuścić mi do pokoju...

My milczeliśmy i ona postąła chwilę, popatrzyła na nas i odeszła. Nie zatrzymaliśmy jej, bo wiedzieliśmy, że na pewno wróci do nas na pertraktacje

Romanowski przygotowywał się do jedzenia kolacji, więc musieliśmy iść i przytrzymać ogon w długiej bułce, która mu się wiła w rękach, by nie zorientował się, że ta długa bułka to właściwie... I żeby nie dostał apopleksji.

Ta bagietka to była jakaś nietypowa, śliska, nieprzyjemna i z taką szorstką łuską na grzbiecie. Brat jedzącego uspokajał nas.

– Jad to taki gad ma w pysku, a on łeb to już dawno zjadł, to nie bójcie się, chłopak... bo on jakby zobaczył, że to nie długa bułka, tylko... to od razu apopleksja z nerwów i po nim.

Romanowski jadł dużymi kęsami, więc szybko uratowaliśmy mu życie. Zresztą gad jakby był naszym sprzymierzeńcem, bo po kilku drgawkach wyraźnie dał za wygraną i miękko zwiślał ku dołowi.

Romanowski przełknął ostatni kęs długiej bułki zwanej z francuska bagietką i poklepał nas przyjacielsko po plecach za kolejne uratowanie mu życia. Potem wskazał na leżącą, otwartą książkę, której czytaniem zajmował się od kilku miesięcy, i powiedział autorytatywnie:

– Dobre opowiadanie musi mieć głowę, rozum i krzywe nogi, żeby nie stało sztywno w swoich twierdzeniach, tylko elastycznie zdobywało jak największą ilość czytelników.

Wskazał palcem w stronę domu sąsiada, który wybudował swoją posesję na części ogrodu wyłączonej jemu kilka lat temu.

– Ja prędzej nauczę się kilku powieści na pamięć, niż on zdoła przeczytać i zrozumieć kilka wierszy.

Podał nam rękę i udał się do pokoju sypialnego.

Gaśł ten upalny dzień z mozaiką słońca nad dachami, ciemnymi plamami ptasich gniazd pomiędzy liśćmi rozchylanymi przez wiatr na boki i gaśł nasz zapal, by coś jeszcze robić tego dnia.

Nadszedł ojciec Jerzyka.

– Nie byłeś na obiedzie i nie byłeś na kolacji.

– Uderzyłem się w kolano i nie mogłem iść, jeszcze mnie strasznie boli.

– Idziemy do lekarza, da ci zastrzyk przeciw bólowi.

– Już mnie nie boli.

– Niech cię lepiej zbada, może potrzebna jest operacja.

– Nie potrzeba, bo ja właściwie to się nie uderzyłem.

Ojciec z synem odeszli w stronę jednego z nowych bloków.

Patrzyliśmy, jak za wysokimi wieżowcami znikło szybko słońce, tak jakby nagle wpadło w jakąś głęboką studnię. Ten z Romanowskich, co łapał w stawie za miastem długie bułki zwane z francuska bagietkami, patrząc w kierunku zachodnim, mówił nam nieraz.

– Tutaj to tak jakby ktoś, to znaczy władza, co mi część sadu odebrała, pałką walnęła słońce w łeb i siłą schowała za dachy wieżowców, co na mojej ziemi wybudowano, a później, obywatelu, masz oglądać dziennik telewizyjny, czyli druga pałka w łeb i do łóżka, by wypaść się do ciężkiej pracy za lekką pensję... jak byłem rybakiem na morzu to... to najbardziej lubiłem zachód słońca z taką

purpurowoczerwoną tarczą w letni, bezwietrzny dzień, słońce tak powoli i dostojnie w dalekim horyzoncie zsuwało się w dół, jak pieszczota, jak muśnięcie ust zaczynało wargami dotykać wody, rozbiegały się jego złociste, długie promienie po falach, wokoło purpurowa, malinowa zorza, w górze niebieskie, ciemniejące niebo i te promienie igrają na falach, igrają, mienia się, złocą, srebrzą przetykane białymi grzywami większych fal, wdzięczą, kołyszają, kołyszają... a słońce zsuwa się w dół, rozcina gdzieś tam daleko morze i wchodzi w wodę, idzie głębiej, dalej, dalej w głąb i połowa szerokiej, purpurowej twarzy już w głębinie, druga połowa odbija się w wodzie i igra ciągle jeszcze na falach i wdzięczy się, złoci się jej lustrzane odbicie dokoła i srebrzy przetykane miejscami przez pieniające się grzywacze, i kołysze się ta połowa twarzy na wodzie, kołysze, niebo ciemnieje, słońce zsuwa się w dół coraz bardziej, wstępuje w otwartą bramę głębin, już tylko widać skrawek twarzy, po chwili skraweczek, słońce wciąga za sobą to, co płasało i wdzięczyło się jeszcze przed chwilą na falach, i złocistych promieni na wodzie coraz mniej, gasną, gasną, morze zmienia barwę, ciemno niebieskie, po chwili jeszcze bardziej, a już w następnej chwili prawie cała woda już ciemna, szumią ciemne fale, pomrukują, szepczą coś szemrząco na pożegnanie i... i widać już tylko ciemne morze z białymi plamkami mew układających się do snu na kołyszących się falach.

Antoni Romanowski zgasił światło w korytarzu, wziął parciany worek i podszedł do nas.

– Kiedyś to wychodziłem nocami na węgorki i na miejscu sortowałem wszystko, żmija w krzaki, wąż w zarośla, węgorki do worka, a teraz to biorę co popadnie...

Przytaknął głową i ruszył w stronę stawów, by złowić jakąś długą bulkę zwaną z francuska bagietką. Jego przygarbiona starcza postać znikła szybko między tymi kilku drzewami sadu, których jeszcze im nie wywłaszczone.

Popatrzyliśmy po sobie. Zbyszek stuknął palcem w przegub lewej ręki, gdzie normalnie nosi się zegarek, i narysował w powietrzu małą ósemkę, tak dyskretnie, by oprócz nas nikt inny nie zauważył. W milczeniu przytaknęliśmy głowami i rozeszliśmy się do domów.

Plan natarcia postanowiliśmy przedyskutować pod kasztanem. Jego bujna, szeroko rozrosła czupryna dawała dobrą osłonę przed tymi lipcowymi, gorącymi promieniami słońca. Podeszliśmy bliżej i... trawa wokoło była schlapana wodą.

– Przed chwilą śnieg padał! – krzyknęła jedna z dziewczyn przez okienko gołębnika.

To stwierdzenie i to pochłapanie trawy wodą było obrazą, plamą na naszym honorze i rzecz oczywista nie mogliśmy puścić tego płazem.

– Batory na Psków! – odkrzyknęliśmy.

Zadziało natychmiast. Stojące na dachu dziewczyny zamarły, a potem popatrzyły z trwogą po sobie. Nauczyciel historii mówił nam wyraźnie: wojska oblegały po drodze twierdze i brały je po kilku dniach szturmem, po zdobyciu wycinano często w pień wszystkich mężczyzn, kobiety gwałcono, dobytek grabiono, a domy +

podpalano... co prawda hetman Jan Zamoyski apelował, by postępowano humanitarnie, i wprowadzić chciał częściowy zakaz mordów, częściowy zakaz gwałtów i częściowy zakaz całkowitego puszczania domów z ogniem, tłumacząc, że wycinanie w pień wszystkich mężczyzn zmniejsza liczbę żołnierzy wziętych do niewoli i uszczupla przyszłe wykorzystywanie ich jako darmowej siły, gwałcenie kobiet jest niekorzystne, bo z braku własnych mężczyzn i tak od razu jest wysoki przyrost naturalny u przeciwnika, a szybkie podpalanie domów zmniejsza ilość łupów wojennych... ale rody najznakomitszej szlachty postawiły sprawę twardo, wyrażając votum separatum... jak to?!... co to za nowe obyczaje, żeby po zdobyciu twierdzy nie mordować, nie gwałcić, nie grabić?!... to od razu wprowadzi bunt w wojsku!... żołnierze zaczną rozchodzić się do domów!... I Jan Zamoyski ustąpił.

Podeszły parlamentariuszki, Mała Genia i Pudrowana Ala, która zawsze była uczesana jak Violetta Villas.

- Będziecie zdobywali gołębnik siłą?
- Będziemy!
- Będziecie po zdobyciu gwałcili?
- Będziemy!
- Będziecie torturowali?
- Będziemy!
- Będziecie grabili wszystko co mamy?
- Będziemy!

Pokręciły się trochę wokoło kasztana, coś poszeptały między sobą i odeszły. Niebo poszarzało, zerwał się lekki wiatr, po chwili wzmógł na sile i zobaczyliśmy, jak tam daleko, na północnym skrawku horyzontu zaczynają pęcznieć i ciemnieć deszczowe chmury. W gołębniku zaczęła pracować szybko siekiera. Wyraźnie ktoś coś odłupywał z którejs z belek. Domyśliliśmy się od razu, że albo usuwają tajemnicę, albo robią zwodzony most, żebyśmy spadli w dół, gdy już wejdziemy na górę.

Chmury północne ciemniały, rosły ich ogromne i pełne wody podbrzusza i powoli szły w naszą stronę. Sygnaturka na wieży kościelnej wydzwoniła południe. Stukanie siekiery na chwilę ustało, gdyż kilka dziewczyn śpiewało w chórze kościelnym i zgodnie z tym, co proboszcz mówił, o dwunastej należało odmówić modlitwę Zdrowaś Mario. Antoni Romanowski wracał od strony stawów rybnych. W worku kotłowała mu się długa bułka zwana z francuska bagietką, a być może miał tam nawet kilka długich bułek, gdyż igraszki w worku były obfite. Podeszedł do nas.

– Politykę państwa trzeba skierować trochę i na wschód... tam miałem majątek ziemski, czas go odzyskać... zresztą Europa Zachodnia nie ma surowców i za jakiś czas to... mam nadzieję, że nie będzie tak jak z cywilizacją Majów i Inków, że Europejczycy będą chodzili wokoło swoich wspaniałych, rozsypujących się budowli i zbierali odpadki na ulicach, by się pożywić tym, co zostawili turyści ze Wschodu...

Popatrzył na gołębnik, znieruchomiał na chwilę, jakby chciał wyraźniej dosłyszeć pracę dziewczyn, i odszedł.

Jedna z dziewczyn wyszła na palcach z gołębnika i szybko pobiegła w stronę kiosku z gazetami. Pod sukienką coś trzymała, wyglądało to na siekierę. Zza rogu kiosku wyglądała dyskretnie, ale tak, byśmy to widzieli, w naszą stronę. Za chwilę, no, może za dwie chwile wychyliła się cicho następna, coś trzymała pod bluzką, coś małego, a nawet coś takiego malutkiego, że można powiedzieć, iż nic tam nie miała. Jako następna wyszła Mała Genia, popatrzyła na nas, swoim zwyczajem prychnęła lekceważąco wargami i powiedziała w naszą stronę:

– I tak nie poznacie tajemnicy, bo to najważniejsze, to z imieniem, to zaraz wyładuje w studni.

Szybko pobiegła do starej, prawie już bez wody studni i wrzuciła tam to, co trzymała pod swetrem. Ta druga częściowo poszła w jej ślady, podbiegła do studni i to coś maleńkiego wyjęła spod bluzki, popatrzyła na to, przytknęła do ust, kilka razy pocałowała, wzięła duży rozmach i... i wsadziła ponownie pod bluzkę. Potem popatrzyła na nas i pobiegła za róg kiosku.

Podszedł do nas Adam, nazywany Umysł Ścisły, a przez Romanowskich Umysł Skisły, bo im kradł jesienią jabłka z sadu. Mówiono o nim, że reaguje na żarty i dowcipy jak znakomity matematyk: jak usłyszy pierwszy raz, to podda to głębokiej analizie, za drugim razem się już nieco uśmiechnie, a jak usłyszy trzeci raz, to rechocze na całe gardło.

Nasi rodzice zabronili nam bawić się z nim, gdyż on był dużo starszy od nas, palił papierosy prawie jawnie i bardzo przeklinał. Do tego, gdy graliśmy w piłkę, to on zawsze chciał być bramkarzem, mimo że słabo bronił, a jak ktoś strzelał karnego, to on chował się często za słupek. Za to przeklinanie dostał od nas kiedyś ostrzeżenie, ale to nie poskutkowało, to po tym ostrzeżeniu daliśmy mu kilka innych ostrzeżeń i w końcu Ostrzeżenie Ostateczne. On mimo tego, nie przestał z wulgaryzmami. I nadal do nas przychodził, mimo iż my mu sugerowaliśmy, by nie przychodził. Po jakimś czasie ponownie dostał od nas sporo ostrzeżeń, z których wiele było Ostrzeżeniami Ostatecznymi z Natychmiastowym Wykonaniem... wszystko jednak bez najmniejszego skutku.

Drażniły nas też jego tatuaże, które on porobił sobie po wyjściu z Domu Poprawczego. Na ramionach, tutaj gdzie wojskowi mają emblematy, miał wytatuowane insygnia generalskie, na obu ramionach. Trudno nam było to zaakceptować i uważaliśmy to za puste przechwałki, gdyż on uczył się bardzo słabo i wątpiliśmy, by kiedykolwiek został przyjęty do szkoły wojskowej, a o ile już jakimś cudem by się tam dostał, to w ogóle nie było pewne, by on kiedykolwiek otrzymał tak wysoki stopień. Do tego miał na piersiach wytatuowany duży krzyż *Virtuti Militari*, co też całkowicie nie pasowało do niego, gdyż po pierwsze, to on w ogóle w wojsku jeszcze nie był, a po drugie, to jak nieraz biliśmy się z chłopakami z innej ulicy, to on pierwszy uciekał.

Dziewczyny opuściły gołębnik i honor nasz był uratowany. Weszliśmy szybko do środka, a Ścisły Umysł został na zewnątrz. Obu tajemnic nie było. Na belkach widniały białe ślady po odrąbanych szczapach.

Stanęliśmy na dachu. Ogromna deszczowa chmura docierała nad miasto. Widać było jej wielki, pełen sianej wody brzuch, który wymykał się jej z tych tysięcy palców i rąk, którymi go przytrzymywała. I było dla nas jasne, że ta napęczniała część ciała wysunie się niebiosom z rąk, rozpęknie i... i ściana wody, niczym w potopie, zacznie opadać na nas. Gdzieś daleko rozległ się pierwszy grzmot i jednocześnie poczuliśmy, jak ogromna ilość wody zaczęła obejmować nasze ciała. Nie mieliśmy jednak zamiaru schodzić z dachu, bo chcieliśmy, żeby najpierw chłopaki z sąsiednich ulic dokładnie zobaczyli, że odzyskaliśmy gołębnik. Stojący na dole Ścisły Umysł, jak było do przewidzenia, już po pierwszym grzmocie mocno się przestraszył. Zerwał szybko koszulę, by jej nie pomoczyć, i pognął do domu. Widać było, że na plecach też miał duży tatuaż, prawdopodobnie Krzyż Walecznych.

Przed dom wyszedł Józef Romanowski. Musiał być bardzo głodny, bo od razu zabrał się do jedzenia długiej bułki zwanej z francuska bagietką. Deszcz był tak gęsty, że on prawie nikł nam z oczu, widzieliśmy jednak, jak jego długa bułka... W tych strugach wody długa bułka poczuła się chyba jak w swoim naturalnym środowisku, bo ożyła i zaczęła bardzo mocno kręcić ogonem, tak, że było duże niebezpieczeństwo, że on może zorientować się, że długa bułka to... Wtedy by od razu dostał apopleksji, bo był bardzo obrzydliwy i... I wtedy nadbiegła Mała Genia, zdjęła szybko jeden but, stanęła na nim drugą nogą, żeby mieć wyżej i... walczyła pięknie z machającym ogonem długiej bułki, zwinnie ratowała Romanowskiemu życie przed śmiertelną apopleksją. I gdy się patrzyło na jej harmonijne ruchy, ułożenie ciała, tańczące biodra widać było bardzo wyraźnie, mimo ogromnej ulewy, że chociaż ona mała i korpulentna, to dobrze wybrała zawód i było dla nas oczywiste, że ona zostanie kiedyś modelką europejskiej klasy, a może nawet i światowej sławy.